

# Wszystko powinno się zdarzać

*Lidia Wójcik*

Wierzą zwykle, że teatr jest w każdym ich paznokciu, w marzeniach i rzeczach, które na sobie noszą, że promieniują teatrem, są jego nieśmiertelnym źródłem. Noszą na sobie teatr życia, miłości, teatr rąk, oczu i biżuterii. Budują wokół siebie atmosferę tajemniczości. Zabiegają o urząd westalki na scenie. W niepewności wiecznej, poś-

ród szarpiących decyzji, rozpaczliwych spojrzeń walczą stale o budowanie własnej wielkości. Trwają w przeświadczeniu, że aktorstwo jest nie tylko zawodem, także sposobem przyglądania się ważnym problemom, własnemu i cudzemu życiu, sztuką sprostania światu. Role grywane na scenie nie wystarczają im, chcą grać także w życiu. Mo-

że mają rację. Umieć zagrać siebie, własne uczucia, myśli, pragnienia, to chyba największa w życiu rola dla każdej aktorki.

Dorota Pomykała. Młoda, podobno zdolna i utalentowana. Czy przystaje do tego powszechnie utrwalonego „portretu” aktorki? O tym chciałam z nią porozmawiać.



*w kręgu teatru*

Miał być wywiad „okładkowy”, z przypomnieniem debiutu, bardziej i mniej znaczących ról, z tradycyjnymi „wywiadowymi” pytaniami — „Czym jest dla pani aktorstwo?” i „O jakiej roli pani marzy?” — ale jakże tu... kiedy! Ona powiada, że nie ma żadnych marzeń, bo jak tylko o czymś zamarzy, to nigdy już do tego nie dochodzi. A poza tym nie lubi opowiadać o sobie. No, więc kłopot.

Przyszła do redakcji „ulizana” w koczek. Potem powie, że rozpuszczone włosy znacznie utrudniają myślenie. W wielkich, ozdobnych, czarnych klipsach, które właśnie kupiła w Warszawie i jeszcze ją uciskają, w modnej, czarnej kamizelce pochodzącej z zaprzyjaźnionego boutique'u w Krakowie. — Rzadko mam czas, żeby być damą — powiada — żeby się podobać tak zwyczajnie, na ulicy. Ale w teatrze mam ten luksus, że mogę wyglądać i zwyczajnie, azaro i bardzo wytwornie.

Nakłada i zdejmuje te wytworne klip-

sy. Krakowską szkołę teatralną skończyła — jak powiada — „chyba w 1979 roku”, ale wie za to już na pewno, że interesuje ją aktorstwo kreatywne, a prawdziwym majstrzem w tej dziedzinie jest Łomnicki.

Przez trzy lata po szkole w Starym Teatrze grała niewiele. Wierzyła jednak, że przyjdzie jej czas, była przekonana, jak wielu młodych aktorów, że chce ludziom coś istotnego powiedzieć. Czekala. Jeździła z monodramami. Gdzieś tam na Śląsku mówiła „Kwiaty polekłe” dla siedmiu hutników na sali. Sądzi, że monodram to bardzo trudna sztuka, ale jest to doskonała możliwość zmierzenia się z sobą, a interesuje ją wszystko, co trudne. Poza tym śpiewała, wówczas, kiedy jeszcze moda na piosenkę aktorską nie była tak powszechna. Śpiewała „Pod Baranami”, „Pod Różą”, pospołu z Markiem Grechutą, również na festiwalu wrocławskim. Teraz przestała ją to bawić, nie interesuje się modami. Czasem myśli o

cabarecie. Chciałaby zagrać jakąś rolę komediową, ale w Starym Teatrze nie robi się takich przedstawień, przynajmniej w tej chwili.

O swoim teatrze wypowiada rzeczy niezbyt popularne. Mit Starego Teatru, który zwykle urzeka aktorów, a potem zniewała do trwania tam, podobno wcale jej nie uwiłódł. Zapewnia, że nie dążyła tak specjalnie, żeby tu właśnie pracować.

— Bardzo chciałam być w Warszawie. Ale dyrektor Gawlik mnie zaangażował zaraz po szkole i tak zostało. Wierzę w przeznaczenie. W Warszawie szybko widać aktora, jak się objawi talent, to lansują go wszędzie. W Krakowie jest inaczej. W Starym Teatrze są wybitni reżyserzy i wszystko jest im podporządkowane. Jeżeli uczestniczy się w próbach w teatrze, to nie ma mowy wtedy o pracy w filmie. Często rezygnujemy z tego na rzecz swojego teatru.

Lubi grać w telewizji i filmie, pociąga

W TELEWIZYJNYM SPEKTAKLU „OWCZE ŹRÓDŁO” LOPE DE VEGA  
W REŻ. IRENY VOLLEN (1984 r.)



... ten rodzaj jednorazowego skupienia. W teatrze zaś najbardziej interesujący bywa okres prób, kiedy wszystko jeszcze jest świeże i niewiadome, zwłaszcza jeśli pracuje z reżyserem, który pozwala „myśleć”. Męczy się bardzo, kiedy w przedstawieniu musi zrobić tylko to, czego chce reżyser, kiedy w roli nie może powiedzieć jednocześnie czegoś o granej postaci i o sobie samej i to, co wymyśli sobie aktor rzadko przystaje do koncepcji i wyobrażeń reżysera.

Męczy ją trochę cowieczorne granie.

— Kiedy gram któryś raz z kolei w tym samym przedstawieniu, łapię się na tym, że myślami jestem gdzieś bardzo daleko. Kłaniając się na koniec przy oklaskach, wstydzę się, że to przecież strasznie nieuczciwie. Ale czy można co wieczór „oddawać” bez reazty samego siebie? Choć w tym zawodzie potrzebna jest właśnie ogromna uczciwość.

Nie mam, jak większość aktorek, takiej strasznej zachłanności na granie. Ja bym się udusiła stale grając. W teatrze gram kilka razy, po czym jadę w góry i odpoczywam, chodzę w jakiejś starej czapce i kurtce, nikt mnie nie zna i jestem szczęśliwa. Bardzo nie lubię próbować przed wakacjami, kiedy już jest ciepło. Chyba, że zdarzyłaby się taka rola, za którą chce się życie oddać, nie chce się spać, jeść... Ale zależy to od sztuki, od reżysera, aktorów.

Zdarzyła jej się podobno jedna taka rola — Księżniczka Eboli w „Don Carlosie”, w reżyserii Laco Adamika.

— Chciało mi się dla tej roli żyć. To rzadko się zdarza, choć przecież sporo grałam w teatrze, w telewizji, w dobrych dramatach klasycznych. Obsadzano mnie najczęściej w rolach złamanych, tragicznych, nigdy nie grałam radosnych pańienek. Interesują mnie takie role, które mają w sobie coś z diabła i anioła zarazem, w których mogę odnaleźć coś wspólnego z własną osobowością.

Uśmiecha się bardzo dziewczęco. Chwilami na jej twarzy brak wyraźnie zaznaczonych rysów, wydaje się dopiero jakby szkicem do portretu, na którym podkreślono tylko oczy. Ma w sobie dużo dziecięcości — jak sama stwierdza — choć wydaje się daleko bardziej dojrzała ponad swoje trzydzieści lat. Ludzie widzą ją podobno bardzo różnie. Sądzą — jak Jarocki — że jest nazbyt liryczna, a inni znowu twierdzą, że za ostra w wyglądzie i sposobie gry. Jakże trudno aktorowi przystosować się do rozmaitych oczekiwań!

Jej twarz jest bardzo elastyczna, ona sama także szybko się przystosowuje. Ma poza tym bardzo wiele cierpliwości. Potrafi czekać.

— Jeśli nie angażują, to znaczy, że nie mam tam grać, więc cóż się będę pchać na siebie.

Wyznaje, że zawsze była bardzo staroświecka. Wierzy w miłość piękną,



TAMARA W „TERMOPILACH POLSKICH” W. MICIŃSKIEGO.  
W REZ. KRZYSZTOFA BABIŃKIEGO. STARY TEATR W KRAKOWIE (1986 r.)

wielką i szczęśliwą, jakie podobno zdarzały się dawniej. Przynajmniej w literaturze tak to wygląda. Poza tym, co aktorkom nie zdarza się często, uwielbia bywać w teatrze, jako widz, nawet wielokrotnie na tych samych przedstawieniach. Chce patrzeć, jak aktor zagra, jak się zmienia.

Jednego tylko strasznie nie lubi: kiedy aktor przychodzi do teatru i zobaczy, że jest obsadzony w jakiejś roli i nic o tym nie wiedział, nikt go o to nie pytał.

— Cóż, aktor jest własnością teatru. Pewnego dnia zawiesz na tablicy ogłoszeń, na liście obsadowej i nikogo to nie obchodzi, czy może akurat grać, czy nie, w jakim jest stanie. A przecież z rolą jest tak, jak z ludźmi, albo chce się z kimś być, albo nie. Do swolch ról podchodzę zawsze, jak do obcych osób, oswajam się i poznaję, jak na

przykład kogoś spotkanego w pociągu. Czasami można nie lubić swoich ról, tak jak nie lubi się ludzi. Stąd nie może być przymusu. Wszystko powinno się zdarzać, musi towarzyszyć temu szaleństwo. A zdarzać może się wówczas, kiedy pracuje się ze wspaniałym reżyserem, jak powiedzmy Jarocki, kiedy jest okazja zetknięcia się na scenie z wybitnymi aktorami — Bińczyckim, Trelą, Nowickim, Radziwiłłowiczem. To wspaniałe doznanie spotkać się z nimi, żeby się zmierzyć i nie zostać w tyle. A w ogóle świetnie jest, jeśli gra się z dobrym partnerem, takim na przykład jak Krzysztof Globisz. On zawsze potrafi dawać jakąś świeżość i impuls do nowego spojrzenia na siebie i rolę.

Wstała, rozrzuciła włosy, przewiązała je jedwabnym szaliczkiem. Włożyła płaszcz i uśmiech. Teatr zawsze grany. Aktorka również w życiu.